Lwów, 16. Czerwca. №71. Rok 1855.

NOWINY

Wychodza we *Wtorek, Czwartek i Sobotę.* We Lwowie prenumerata roczna **6** Złr. półr. 3 Złr. kwartal. **1** Złr. **30** kr. miesięczna **40** kr. m. k. W kraju z przesełką pocztową rocznie **8** Złr.— półrocznie **4** Złr. —kwartalnie **2** Złr. m. k. Ryciny mód kwartal. **1** Złr. **20** kr.

Ogłoszenia wszelkiego rodzaju przyjmują się za opłatą od wiersza pismem petyt w przedział ce za jednorazowe umieszczenie po **3** kr.. za na stęp. po **1** ¼ kr. i za dopłatę 10 kr. stepl. za każdorazowe umieszczenie. Bióro expedycyi w księgarni *H. W. Kallenbacha.*

UCZONY.

Obrazek fantastyczny,

przez

Jana Zachariasiewicza.

IV.

ALTANKA.

(Ciąg dalszy.)

Taka nauczycielka wykształciła rozum i serce panny Kamili, i przygotowała ją do tak ważnych obowiązków jakie ją czekały jako żonę, matkę i obywatelkę kraju.

Chcąc więc użyć górskiego powietrza przybyła ze swoją elewką w tę ustroń karpacką, a oglądnąwszy koleją całe podkarpackie towarzystwo, udzieliła Kamili swoich spostrzeżeń. Najprzód nieznalazła ona w okole mil dziesięciu żadnego przyzwoitego kawalera, któryby mógł się kwalifikować na męża elewki; wszakże pomimo tego uznała kilku z młodzieży dosyć przysposobionych do towarzystwa *„pour passer le temps“* a niektórych zaleciła jej szczególnie. Lecz niecierpliwa elewka, nie zewszystkiem usłuchała rad swojej nauczycielki, a chcąc czemprędzej spróbować zdolności swego talentu podobania się i kokietowania, obrała sobie w sposób wygodny przedmioty najbliższe.

Sama francuzka przyznała za kilka dni, że Monsieur Robert ma nadzwyczajny talent wyrażenia się pięknie, i jest bezsprzecznie jednym z tych bel'esprit, którzy we Francyi dosyć znaczną odgrywają rolę. Gdyby tylko miał trochę lepszą powierzchowność i maniery, byłby nawet w wyższem towarzystwie *comme il faut.* Wszakże to niebyło zbyt koniecznym, bo i genialny Chateaubriand na nieudolnym i koszlawym tułowie miał najpiękniejszą w świecie głowę, którą w swoim czasie zachwycało się wiele piękności francuskich.

Inaczej sądziła jej nadobna elewka. Niechcąc dłużej czekać chwili tak pożądanej, postanowiła w jak najkrótszym czasie odegrać rapsod wymarzonego dawno romansu w ustroniu odosobnionem, z osobą, nie wchodzącą bynajmniej w jej świat towarzyski, a zatem bynajmniej nieszkodliwą dla jej opinii i przyszłości. Byłaby to mała próbka występującej debiutantki, a od jej wypadku mógł by zależyć rozmiar dalszych operacyi.

Przybliżyła się więc do swego Robusia, jako do wybawcy, z pieszczotami niby siostry, niby przyjaciółki, a czyniąc szybki postęp przyprowadziła do tego, że w głowie gimnazyalnego studyoza poczęły się mieszać konjugacye, i greczyzna, poetyka i retoryka, hexametry i hyperbole, słowem powstał chaos całej jego mozolnie przyswojonej nauki, a na gruzach tego Babilonu nieskończonego, osiadł ptaszek złotopióry, który mu zapowiedział świat nowy — świat uczucia. Zadrgnęła w jego sercu fibra innego, niepojętego dotąd życia, a wymarzone teorye i idee poczęły zwolna oblekać się w kształty ziemskie. To jednak wydawało mu się dziwnem, że osoba, która widocznie była przyczyną tego rozbudzenia jego uczuć, ustępowała po ich rozbudzeniu z jego duszy marzącej, lub rozpłynęła się w jakąś postać idealną, eteryczną.

Czując zatem w sercu swem żądzę ukochania ideału kobiecego, nie widział go jednak w kokietującej Kamili, chociaż wiedział, że jej obecność wprawia go w najmilsze sny i marzenia.

Tym sposobem szukał jej obecności, aby śnić i marzyć, ale ona sama niebyła nigdy bohaterką tych snów nadziemskich. Wprawne oko nauczycielki spostrzegło od razu, że elewka chybiła celu; chcąc więc ten błąd naprawić, poczyniła potrzebne ku temu rozporządzenia i należytych udzieliła instrukcyi.

Jednego dnia już nad samym wieczorem zaprosiła Kamila swego lektora, a którym był Robert do oddalonej chmielem ocienionej altanki, aby jej odczytał rozdział z książki francuskiej treści erotycznej.

W skład ideałów naszego studyosa poczęły już od kilku dni coraz wyraźniej wchodzić rysy Kamili, a chociaż w nich jeszcze nie było właściwego jej wyrazu, natomiast jednak było tyle poezyi i nadziemskiego uroku, że już serce poety mogły niejako zadowolnić. W tem usposobieniu wstąpił on w zacień odurzającego chmielu.

Usiadłszy obok Kamili począł z roztargnieniem odczytywać pierwszą stronnicę. Nie mógł sobie zdać sprawy z jakiegoś dziwnego wzruszenia, które go w tej chwili opanowało, a jakiego jeszcze nigdy nie był doznał. Lecz rozsądna jego towarzyszka prowadziła spiesznie rzecz dalej, a ośmieliwszy go ściśnieniem ręki i wyzywającym wzrokiem, pełnym żądzy i płomienia, przyprowadziła do wybuchu nieszczęsną katastrofę.

Spojrzawszy na nią rozmarzony retor, przypomniał

sobie z *libri amorum* Korynnę Owidiusza i gdyby nie powtórzenie uścisku, byłby już niezawodnie czmychnął myślą do ulubionego swego klasyka. Lecz żyjące idealne formy które widział przed sobą, to śnieżne, cudnie ożywione łono, falujące rozkoszą i uczuciem wzburzonem, te oczęta lube i zachwycające, ten wymowny wyraz twarzy, który najśmielszym kochanka marzeniom zdawał się być przychylnym i pobłażającym, wszystko to oderwało uczonego z książek, od jego ulubionych autorów klasycznych i przykuło go do rzeczywistości tak ponętnej. Dotąd jak drugi *Winkelmann* szukał on piękności tylko w ideałach starożytnych, w cnotach i obyczajach Sparty i Rzymu, dzisiaj jak drugi *Buonarotti* chciał uczonemu światu rzucić w oczy nowy, żyjący ideał, który w tej chwili widział wcielonym w Kamili.

Biedny, młody marzyciel otaczał ją tęczą światła, które z jego duszy wytrysnęło za czarodziejskiem dotknięciem się tej drobnej rączki, jak żywy zdrój ze skały mojżeszowej. Wyrzucał sobie, że jej uczuć nie odgadł tak długo, a wynagradzając swoją niedomyślność, sięgnał namiętną dłonią za przychyloną ku niemu kibić dziewicy, i silnie ją ku sobie przycisnął. Wnet jednak pojawiła się przeklęta reflexya, a widząc, że popełnił rzecz nieprzyzwoitą postanowił się poprawić i romans w systematycznym rozpocząć porządku. Wybełkotawszy więc kilka słów niezrozumiałych, o których potem twierdziła Kamila, że były cytatem z łacińskiego autora, rzucił się na kolana i w zrozumialszej polszczyznie począł był nagle jakąś długą perorę prawić, gdy z za altanki dał się słyszeć głos chrapliwy, ostrzegający kochanków o jakiemsiś niebezpieczeństwie.

A było to niebezpieczeństwo nie lada. Sam pan i dziedzic parku i pałacu stanął w tej chwili przed zdziwionym i niemile rozczarowanym poetą. Owionęła go jakaś inna atmosfera i światło, a urok przedchwilowy rozchwiał się jak obraz mglisty. Spojrzał na twarz Kamili, i ujrzał, że wcale nie była piękna, a szyderczo złośliwy ruch koło jej ust różowych czynił ją nawet szpetną. Jej oczy błyszczały tryumfem złowrogim, a na pół rozwarte usta miały nań zionąć wybuchem słów obelżywych. Zdziwił się marzyciel ideałów, jakim sposobem mógł tak spaść nisko, i uderzył się trzykroć w czoło, aby się przebudzić ze snu trapiącego.

Ale niestety, była to prawda.

Najprzód przystąpiła do niego zapieniona niby ze złości francuzka, wyrzucając mu w słowach najobelżywszych, że zapominając o swem niskiem urodzeniu, o łasce swoich dobrodziejów, śmiał się odważać świętokradzką swoją dłonią sięgnąć po ten klejnot wszystkich jej elewek, z których każda najmniej.....

Tu przerwał pan Kalasanty wymowę francuzki, której rola zaimprowizowana była nieprzewidzianem pojawieniem się ojca, a jako człowiek rozsądny i po niewczasie wyrachowany, odłożył tę sprawę do indagacyi spokojnej.

Kamila zaręczyła wszystkim na słowo honoru, że pan Robert na jej własne żądanie powtórzył był próbkę deklamacyi, której właśnie nauczył się w retoryce, a przy czem z istoty rzeczy potrzebne były owe gesta nieszczęsne.

Uwierzył córce biedny ojciec, który niechciał tej sprawy rozmazywać, ale będąc w cztery oczy z wychowańcem, uśmiechnął się na to tłumaczenie bardzo dwuznacznie. Nie wchodząc wszakże drobnostkowo w badanie czynu, uczynił mu tylko tę racjonalną uwagę, że jako syn zagrodnika z jego włości popełnił był wielką nieprzyzwoitość, oświadczając się damie tak znakomitego urodzenia. Sądzi on, że przy całej swojej erudycyi popadł w błąd arcygłupi, niezastanawiając się, że podobne afekta przy jego niskiej społecznej pozycyi są szaleństwem wierutnem: że nauka i znakomite talenta mogą wprawdzie dać mu wygodny kawałek chleba, ale nie mogą go nigdy zrównać z tymi, którzy są od niego wyżsi urodzeniem, a przeto stanowiskiem społecznem.

Na te „d i c t a a c e r b a” mógł wiele odpowiedzieć nasz studyosus, ale nic nie mówił. Spór o zdanie wydawał mu się bez celu a to tem bardziej, że w zdaniu pana Kalasantego widział wiele prawdy względnej, i swoje głupstwo począł uznawać. Podziękował tylko za dalszą opiekę, i prosił o uwolnienie go od zaległej wdzięczności.

Widząc w postradaniu tak statecznego w innych względach towarzysza dla syna stratę oczywistą, i chcąc zaszły wypadek utrzymać w tajemnicy przed światem, począł pan Kalasanty coś przebąkiwać o niewdzięczności, a w końcu zakończył formułką oratoryczną, że do uzupełnienia tak pięknego dzieła, jakim jest wychowanie Roberta, zabrakłoby mu zaspokojenia, że go nie doprowadził należycie do końca.

Rozbrojony takim pociskiem, zamilkł biedny młodzieniec i pozostał.

Wypadek ten puszczono arcygenialnie w zapomnienie a nawet starano się ze wszystkich stron i Robertowi ulżyć tej trudnej czasami operacyi mózgowej. Jakoż nie tak łatwo mu się to powiodło. Chociaż wszyscy mieszkańcy parku i pałacu zdawali mu się teraz nadzwyczaj grzeczni i uprzedzający, jednak w tej wyrafinowanej grzeczności widział młodzieniec jakieś chłodne wymuszenie, przez co otaczająca go atmosfera spadła niżej zera. Był to zręczny takt oddalenia go nieco od stosunków familijnych, z któremi się był spoufalił w sposób nieprzyzwoity.

Nie uszło to bacznej myśli podejrzliwego młodzieńca, że w tej grzeczności było wiele ukrytej ironii i szyderstwa, a chociaż jego stanowisko tym sposobem stawało się dlań z każdym dniem mniej znośnem, tkliwego jednak sumienia wychowaniec, ugodzony wymówką niewdzięczności swego dobrodzieja, uznał był za swój najświętszy obowiązek,

zastosować się do woli tego, który go z pod strzechy słomianej wydobył, chociażby jego męczarnie równały się męczarniom piekła.

Jedna panna Kamila czyniła wyjątek z całego koła domowego. Czasami w chwilach pustoty, śmiejąc się do rozpuku, wyrzucała mu niezgrabność w manierach przy tak uroczystym akcie, jakim było to oświadczenie w altance chmielowej; wyrzucała mu, że z pierwszych uczuć swoich wyspowiadał się przed nią po łacinie i prosiła go, by jej takowe podał w dobrym polskim przekładzie, lub w błędnej francuzczyznie. Mimo to zbliżyła się jeszcze więcej do niego, a nawet była czasami tak poufałą, takie znaczące rzucała na niego spojrzenia, jakoby pamięć altanki chmielowej nie była dla niej bez pewnej przyjemności. Potrzeba było całej rozwagi młodzieńca, i żywego wyobrażenia sobie wszystkich tych przygód i skutków nieszczęsnej katastrofy, potrzeba było żywo przypomnieć sobie ów chrypliwy głos zapyrzonej francuzki, owe zimne, lecz głęboko raniące dogmata społeczne pana parku i pałacu, aby nie popaść w powtórny szał obłąkanych zmysłów, i zapomnionego już głupstwa nie powtórzyć na większą skalę.

Chronił się więc biedny młodzieniec jak od ognia złudnych podszeptów swego pięknego zwodziciela, chociaż w duszy czasami wyrzucał sobie obojętność na tak widocznie okazywane afekta, a litując się nad wyjątkowym stanem skrycie kochającej go dziewczyny, tem tylko uspakajał tkliwe swoje sumienie, że wiekami uświęcony przesąd społeczeństwa rozgradzał go od sprzyjającego mu i spokrewnionego ducha.

Owoż wyłączając osoby, wziął sobie tę nieszczęsną i i fatalną różnicę społeczeństwa za temat gniewu i pocisków swoich, których nieszczędził w duszy, przejętej taką zgrozą jego prawdy bezwzględnej. Tym sposobem odnosząc wrażenia wypadku i jego skutki, zapominał sam o wypadku i osobach, które były aktorami, a odjeżdżając z pałacu na studya do Lwowa, pożegnał się tak obojętnie z panną Kamilą, jakby jej w życiu nigdy spotkać nie chciał. Obojętność jego była tak naoczną, że biedna debiutantka aż się w duszy zasmuciła, i o potędze swego talentu wiele straciła uprzedzenia.

Wszakże teoretyczny studyozus odjechał z tem wewnętrznem przekonaniem, że kochał i był kochanym, że nawet dotąd kocha i jest kochany — ale z rezygnacyą. Panna Kamila wyrosła w jego marzeniach na bohaterkę postaci tragicznej, chociaż do niej niebyła podobna ani twarzą ani usposobieniem. Przeszła ona w jego komórkę mózgową jako czysta, bezcielesna idea i osiadła tam obok jakiegoś greckiego autora wygodnie na wieczny odpoczynek. Stanowiąc tym sposobem w jego świecie duchowym epokę, cyła mu w rzeczywistości tak obcą, i obojętną, jakoby do jej osoby żyjącej nie wiązało się żadne jego wspomnienie.

Ale umysł młodzieńca zawrócił po tej epoce w zupełnie inną drogą swego dalszego rozwoju. Jak pierwej była dla niego nauka pokarmem koniecznym i przyrodzonym, jak ją w siebie wsiąknął z własnego popędu, bez założenia sobie celu, uznając ją za cel ostateczny; tak dzisiaj uczynił on ją środkiem i narzędziem do dopięcia zakreślonych sobie nowych zamiarów i celów, które się stały ostatecznem jego duszy pragnieniem. Czytając o wielkich uczonych mężach, postanowił nieprzerwaną pilnością osiągnąć ten stopień uczoności, który czyniąc go wielkim i sławnym mógłby go postawić na czele społeczeństwa i tegoż przesądy zaspokoić. Jaki atoli był jego cel dalszy, gdyby się w istocie był zrównał z pierwszemi ze społeczeństwa, tego wiedzieć nie mogę, bo i sam nasz studyozus o tem nie myślał. Była to jakaś jak zawsze u niego teorya fantastyczna której teraz chciał dogodzić, a ludziom, którzy go zranili, dowieść, że osobista zasługa, nauki i talenta mogą coś więcej człowiekowi przynieść, niżeli wygodny kawałek chleba, a nawet i wtedy, chociażby ten człowiek był pierwszy tego imienia.

Opowiadają o pewnym artyście sławy europejskiej, że będąc u jakiegoś bankiera nauczycielem muzyki, ośmielił się westchnąć do jego córki milionowej. Westchnienie to nie przeszło kwarantany pieniężnej, a biednemu kochankowi dano do zrozumienia, że w grze jego życia byłby to disakord nieznośny. Sama dama była tego zdania. Z rozpaczą w sercu odegrał jej na waletę coś sentymentalnego, w czem milionowa panna wcale nic szczególnego nie widziała, a w nagrodę uśmiechnęła się sztywniej. Po kilku latach sławą europejską uwieńczony artysta, a prawie drugi z kolei po znakomitościach panujących, przybywa do miasta dawnej swojej Alcimadury. Zapowiedziano koncert, powito naprzód wieńce, obrano deputacye, a gdy artysta ostatnią sztukę, nieporównaną swoją *Elegię*, z wielkiem uczuciem wykonał, wśród morza oklasków przypomniała sobie panna milionowa, że to była jego kompozycia pożegnalna. Czułemi wyrazami zaprosiła uwielbianego artystę, a gdy o chwilach jego pożegnania i owej *Elegii* mówić poczęła, artysta uśmiechnął się sztywnie.

Czy naszego studyoza podobne nie naszły myśli, czy i on nie gotował w swem sercu jakiej okrutnej zemsty dla dziedziczki i dziedzica parku i pałacu, o tem powiedzieć dokładnie nie mogę, ale że o przytoczonej powieści nie myślał, o tem mogę zaręczyć, bo w ten czas jeszcze ani tej przecudnej *Elegii*, ani powieści o niej nie było.

Dosyć, że studyozus widział już siebie na pół w apoteozie, gdy przed szarą kolumnadę zajechała bryczka, która ich odwieźć miała do upragnionego Lwowa.

(C. d. n.)

BEZ LUDZI.

Dajcie mi skarby całego świata,
I trąćcie w pustyń bezludną,
To powiem: milsza mi moja chata,
Gdzie codzień gwarno i ludno,
I kwiat bezbarwny ojczystej błoni,
Cichy szmer rodzinnej wody,
Jak gdzie w samotnej, pustej ustroni
Kraj pełen rajskiej urody.

Życie bez ludzi... to gad w wnątrz skały
Falą potopu zagnany,
Co światu obcy przeżył wiek cały
Bez burzy, słońcem niegrzany.
Życie bez ludzi... trup w żywem ciele
Zaklęty bożym wyrokiem,
Niewie co smutek ni co wesele,
Bo szklannem w świat patrzy okiem.

Bez ludzi smutno... gdy troska stanie
W złej chwili pod twoją strzechą:
Wśród ludzi prędzej żałość ustanie
Ulżona bliźnią pociechą,
Bez ludzi tęskno... choć wieść szczęśliwa
Spotka się z dźwiękiem wesela;
O! to i szczęściu barwy przybywa,
Gdy się go z ludźmi podziela.

I choć się nieraz łezkę roni,
Świat szczęściu twemu zaszkodzi...
Jeden ci uścisk przyjaznej dłoni
Doznaną boleść nagrodzi.
Przeto za skarby całego świata
Do ludzi serca nie stracę!
Milsza mi ludna, drewniana chata,
Jak złote, puste pałace.

B. B.

Dwie siostry.

Obrazek A. Nowosielskiego.

(Ciąg dalszy.)

Marszałek nieposiada się z radości, lecz jakież jego zadziwienie, gdy mu Laura oświadcza, że nigdy nie będzie żoną hr. Sambora. Dlaczego? krzyczy ojciec. Bo go nie kocham! odpowiada córka. Przyczyna tak błaha niemoże pomieścić się w marszałkowskiej głowie. Niepokój zatem w domu najstraszliwszy: krzyki, łajania i groźby z jednej strony; z drugiej strony rozpaczliwa rezygnacja.

Laura żadnej już niema nadziei, rozpacz chowa w sercu, bledniеje, niknie na suchoty. W marszałkowej odzywa się serce matki; stara się męża ułagodzić, próżna praca, jakby martwy kamień zmiękczyć chciała.

Przypadek w postaci listu, przez siostrę marszałka pisanego, odkrywa ojcu, że Laura kocha Henryka. Niemoże tego pojąć, bo hrabia ma 2000 dusz, a Henryk ledwie 200.

Nowe sceny rodzinne, rozdzierające, żywo przez autora opisane.

W najżywszej chwili pojawia się Henryk; marszałek postępuje z nim jak gbur nieokrzesany; Laura ostatnich sił dobywa aby czułemi słowy kochanka uspokoić, i pożegnać na zawsze.

Nowe zdarzenie; marszałek wlazłszy w głupie spekulacje ze żydami widzi się zrujnowanym. Ledwie nie oszaleje, i pojąć nawet nie jest w stanie jak może marszałek Złotogłów, mający w herbie orła, rozdzierającego arkusz papieru, z godłem: „ad usum communem“ zostać nagle gołym człowiekiem. Hrabia Sambor dowiedziawszy się o tem, nie cofa się, bo wmówił w siebie miłość do Laury szaloną; przeciwnie w liście najpocieszniejszym ofiaruje marszałkowi 60000 a nawet i więcej rubli, byle Laura była jego żoną. Czyn ten wspaniały zaiste autor tak sprowadza, że nie jest on wypływem szlachetności, ale istnej, upartej glupoty. Proźbami ojca złamana Laura, czując śmierć bliską, przystaje na wszystko. W wilją ślubu hr. Sambor daje marszałkowi 85.000 rubli srebrnych; po ślubie przerwanym omdleniem panny młodej, Laura umiera. Na nadgrobku marmurowym napisali że „zmarła ze zbytku szczęścia". Matka umarła w tydzień po śmierci ukochanej córki. Henryk zginął na Kaukazie.

Na tem kończy sie dwutomowa powieść; treść jak na dwa tomy wcale nie obszerna, a przecież oba tomy zapełnione, i dobrze zapełnione, bo się czyta z zajęciem. Jak mówiliśmy, obok głównej treści mnóstwo jest naszkicowanych obrazków, portretów, lekkich zarysów, które choć odrywają czytelnika od samej treści, ale nie nudzą, bo określone są z wielką prawdą. Przeważa w nich żywy dowcip, trącający czasem o złośliwe nieco karykaturowanie rozmaitych miejscowych śmieszności, które autor tak zgrabnie podchwycił, jakby je zebrał z żywych przykładów i z własnych pamiątek i doświadczeń. Każdy najdrobniejszy przedmiot daje mu pole do nowych obrazków, i do własnych uwag, w których autor zdaje się bardzo miłować, i które za nadto może szczodrze rozrzuca, co jeszcze więcej rozrywa całość powieściową.

Portrety są powiększej części humorystyczne, w obrazkach zaś, krajobrazach, i uwagach odzywa się nieraz struna poezyjna, dźwięcząca uczuciem samego autora. W pierwszych zaraz rozdziałach dwie boczne pojawiają się figury doskonale skreślone. Pierwszą figurą jest p. Jankiel Brodzki, spanoszony żyd, wielki spekulant, i oczywiście arystokrata starozakonny, jakich wzory łatwo zdybać na naszej ziemi, niezmiernie sprzyjającej kieszeniom i fantaziom

Izraelskim. Marszałek mimo pięknego godła swego, niezmiernie honoruje p. Jankiela, sadza go na kanapie, i podchlebia mu Pocieszna jest scena gdy się schodzą te dwa exemplarze wiary w złotego cielca, mianowicie gdy wchodzi trzeci między nich Xiądz proboszcz, którego marszałek z lekceważeniem kolatora przyjmuje, i baje najzabawniej o mocy nabożeństwa żydowskiego, do którego się sam udawał gdy mu żona zasłabła.

— Jak narobią moje żydki w szkole lamentu i hałasu; opowiadał marszałek, to w całem miasteczku słychać było; całą noc hałasowali i krzyczeli, ale taki wyprosili zdrowie dla mojej żony.

I najfatalniej wyszedł marszałek na tej przyjaźni. Jankiel bowiem biorąc jakieś ogromne rządowe liwerunki tak przedstawił rzecz p. Antoniemu, że ten dał mu na kaucją najznaczniejszą część majątku swego. Żyd dał mu procentu kilka tysięcy rubli, ale oczywiście zbankrutował i z pieniądzmi do Brodów uciekł. Marszałek musiał odpowiadać swoim majątkiem, i tylko ofiarą córki szczęścia i życia wydobył się z błota.

Drugą figurą jest panna Aniela, cioteczno-rodzona siostra pani marszałkowej, bawiąca w Kryształnej. Jest to stara panna ze wszystkiemi starej panny śmiesznościami, żywcem oddana. Mimo zbytku lat i braku wdzięków i posagu, nie traci nadziei że się znajdzie jeszcze dla niej mąż którego tak usilnie pragnie, że się udaje i do Boga i do wszystkich świętych, a nawet do kabały. Głupia i nudna, choć także ma niby to dobre serce do niczego, zdobywające się na czcze słowa, wyklepane sensa moralne, i płynące na zawołanie łzy, rozpowiada najnieznośniej o swoich przeszłych kochankach, o wdziękach dawnych, i dawnej świetności w domu rodzicielskim, o wypustkach lokajskich, o koszulach i spodnicach swojej wyprawy, i tym podobnych ciekawościach. Łatwo pojąć jak się takiemi rozmowami bawić musi biedna Laura, ta dusza zapoznana, rzucona na męczarnię w ukraińskie towarzystwo.

Niemniej dobre są inne portreciki i sylwetki członków tego towarzystwa, których wzory rozrucone są sowicie po bujnej w tym względzie ziemi naszej. Gdzie tylko jest miasteczko, gdzie jarmark, zdybać można takiego Cezarego, który je, pije, gra w karty i spi, aby nazajutrz znowu jeść, pić, grać i spać. Ma przytem i dowcip, bo już to u nas na dowcipie nie brak, i lubimy zbywać życie dowcipem; a więc facecionuje sobie, i chyba się rozczuli i rozpłacze gdy upiwszy się przypomni sobie jakiś młodociany romansik, tę u nas zwyczajną stronę poezyjną, odzywającą się choć raz za młodu w najprozaiczniejszym człowieku.

Jest przy nim Staś, prawdziwy Staś, który Stasiem w trumnie leżeć będzie, bo bez własnej woli, naśladuje wydatniejsze, a zatem najczęściej śmieszne rysy drugich. Wszyscy drwią ze Stasia, wszyscy kochają Stasia; objadają, opijają i ogrywają Stasia, i Stasio zawsze poczciwy, rad z siebie i ze świata, żyje z dnia w dzień.

Sobiesław Gołobłocki inny znowu, a nie rzadki u nas typ. Jeździ od komina do komina, gospodaruje wszędzie jakby w domu własnym, żyje doskonale cudzym kosztem, gra w karty zawsze szczęśliwie, bo jak wygra to bierze, jak przegra, nie płaci, i odpłaca się dowcipem, który u niego na tem się ogranicza, że kłamie jak panie kochanku, i przekręca wyrazy polskie, niemieckie i francuskie, dając im najkapryśniejsze zakończenia.

Jest znowu pan Baszkiewicz, inny oryginał: poczciwy z kościami szlachcic, ale passyjonat i weredyk. A jak się na co rozgniewa, nie może wytrzymać, by nie uciął kilka bardzo dobitnych ale nieprzyzwoitych wedle naszego rozumienia przekleństw i słów. Podchwytuje się sam na tem, i nieraz aż ucieka z towarzystwa, by mógł się do woli nałająć, co go robi nadzwyczaj pociesznym. To daje autorowi powód do ustępu o naszem wyobrażeniu o przyzwoitościach, nazywając to dowcipnie Chińską akademją dziesięciu tysięcy komplementów i ukłonów.

Prócz tych jest jeszcze kilkanaście portretów; wszystkie trafne, chociaż nadzwyczaj kostyczne. Jest tam między niemi jejmość jedna, lubiąca plotki, i zbierająca je z równą ochotą jak je potem rozwoziła w bombowatym koczu po całem sąsiedztwie. A jak te wszystkie wiadomości wyglądają gdy ona je puszcza w kurs!. I broń jej Boże co powiedzieć o tem?. Ona nie cierpi, ona brzydzi się plotkami; któraż okolica nie ma takiego gromadzkiego typu?

Z pomiędzy tych wszystkich portretów najdzielniej występuje wspomniany już przez nas szepleniący hr. Sambor, potomek dawnego rodu, malenki z brzuszkiem, trzaskający z bicza po mistrzowsku. Smutna to ale zdybywana osobistość!.. Do odmalowania jego w krótkości, i oddania jak się ci wszyscy panowie bawią, przytoczymy krótką rozmowę. Cezar i Stasio przyjechali do hrabiego. Zjedli smacznie obiadek, napili się należycie, i potem zapalili cygara.

— A co hrabio czy ty poobiedzie nie zajmujesz się czasem literaturką? zapytał Cezary.

— Cio? keske sla ve dil? zawołał przestraszony gospodarz wytrzeszczywszy okrągłe oczy.

— Oto ja, rzekł p. Cezary, kiedy mam u siebie gościa, proponuję mu zawsze iść do osobnego pokoju, położyć na sofie, i czytać. Jest tam jakaś u mnie książka *Marja* (musi być poezyja, bo wiersze) którą ja daję każdemu. Za kilka minut gość i gospodarz chrapią, i to się nazywa u mnie chodzić na literaturkę.

Ten wynalazek pana Cezarego podobał się powszechnie, i wszyscy trzej poszli spać. A jak się pobudzili usiedli na ganku.

— Ja mam zwyczaj po śnie wypić zawsze szampańskiego. Cóż panowie na to? ozwał się hrabia.

— Prześliczny zwyczaj! nie należy zaniedbywać starych zwyczajów, rzekł pan Cezary.

— Prześliczny zwyczaj! starych zwyczajów zaniedbywać nie godzi się, powtórzył Staś.

A gdy się napili, Cezary namówił hrabiego, aby się żenić, i zaczął mu przedstawiać rozkosze stanu małżeńskiego.

Hrabia na wszystko odpowiadał: prawda!.

— Doplawdy! mówił w końcu, że to bardzo przijemnie mnieć dzieci i zionę. Ja i sam często o tem myślę.

— Tu nie myśleć potrzeba, tu potrzeba działać. Cóż myśleć? Z myślenia nic nie będzie. Cóż z takiego myślenia?... Myślenie to fu!, i tylko.

— Plawda! plawda!. myślenie to fu, i tylko.

— A więc trzeba się żenić, aby mieć żonę i dzieci tłumaczy p. Cezary.

— Co prawda to prawda! dodał pan Stanisław. Jeżeli człowiek żonaty, to on musi mieć żonę, inaczej człowiek nie jest żonaty.

— Ty bo już do filozofii zajechał, przerwał Cezary. Tu nie o filozofii rzecz, tu rzecz o żonie. Cóż filozofia?. Filozofia ci dziecka nieurodzi.

— Ni, nieulodzi, potrzeba na to żony, już ja to wiem. Ale tak jakoś samemu.

— O cóż tedy chodzi? panna jest.

— Jest, ale.....

— Cóż, ale?

— Ale ja niewiem ci ona mnie kocha.

— Tam do djabła.

— Bo już to ja bez tego nie ożenić się; ja chciałbym żeby mię żona kochała, tak zieby baldzio, baldzio kochała.

Po tak mądrej rozmowie zdecydował się oświadczyć. Szczęśliwa Laura.

Do oryginalnych zarysów należy także list ekonoma pisany do pana, który mimo całego właściwego sobie ducha twórczego, autor nie sam wymyśleć musiał, lecz zapewne przepisał go, tak doskonale oddaje ekonomską pisownię, język i koncept.

Są i obrazki zeszkicowane z natury. Piękny jest opis pobytu Henryka w Rzymie. Przebija się w nim uczucie, myśl wyższa i pojęcie prawdziwego piękna..., pojęcie artystyczne, które niemoże zimnem pozostać na widok tej stolicy podwójnej dwóch światów, dwóch religii, podwójnej wielkości, Rzymu dwakroć panującego światu: mieczem, i krzyżem. Szkoda tylko że w tym opisie, i w ogóle w całej podróży Henryka przez niego opowiadanej, odbija się pretensja autora do szczególnego obznajomienia cię z miejscowością, którą opisuje z pewną kokieterją, trochę niesmaczną i przesadną. W środku tego opisu napuszonego i romantycznego, wmieścił autor scenę nadzwyczaj pocieszną.

(D. n.)

Potęga przemysłu.

II.

(Dokończenie.)

W milczeniu, kichaniem chyba przerywanem, idziemy dalej, i stajemy przed schodami prowadzącemi w dół, do ciemnej otchłani, w której są piwnice na składy wina przeznaczone. Przed drzwiami jest rodzaj sieni, w niej odbierają nam bilety, aby się dowiedzieć, czyli jesteśmy biernemi tylko, czy mamy być czynnemi, to jest czy mamy na kartach naszych wyrażone pozwolenie kosztowania win. Taka karta najlepsza, taką mamy, a więc puszczajmy się w świat podziemny; a warto też spłukać wszystkie indygowe herbaciane i tytuniowe prochy co nam na języku osiadły.

Przewodnik się zmienia, i każdemu daje do rąk świeczkę jak w kopalniach; parami wchodzimy do otchłani Drogi pomiędzy beczkami czyste, piaskiem posypane, a na nich ciągną się żelazne koleje, ułatwiające przesuwanie beczek. Póki oko dosięga, nic nie widać tylko beczki i ciągle beczki. Wprawdzie nie daleko w tej ciemnocie oko sięga, i tylko zdala błyszczą gdyby świecące robaczki pozawieszane lampy olejne. Przestwór wszakże jest ogromny, i długo trzeba chodzić za nim się wszystkie obejdzie kąty. Piwnica ta największa z piwnic Dokowych, i największa robota podziemna, ma 12 morgów objętości, a koleje żelazne wynoszą 13 mil angielskich. Wrażenie całości, mianowicie przy krzyżujących się drogach, zkąd te gwiazdki lampowe na wszystkie rozbiegają się strony, ma coś w sobie romantycznego i dzikiego, do czego głównie przykładają się wiszące u ciemnego wierzchu jakieś dziwnych kształtów, strasznie wyglądające, ciemne i siwe, a długie utwory roślinne, które wilgoć dobywa, a wilgoć winna w tak dziwaczne przybiera kształty. Stróże zaś i bednarze Dokowi, tak jak górnicy mają swoje własne poglądy religijne i naturalno-historyczne, i dzięki im, roślinne te stalaktyty wiszą sobie wolno od miotły i siekiery.

Idziemy dalej, i stajemy od czasu do czasu, aby skosztować Xeresu lub wina Oporto. Wino smakuje doskonale w chłodnej głębi, ale trzeba się strzedz, bo w tych piwnicach, przepełnionych winnemi wyziewami, głowa bez picia wnet ociężeje. Tu się łyknie, tam cmoknie, a co zostanie w szklance, to przewodnik wylewa w piasek bez miłosierdzia, bo piwnicznemu Dokowemu zakazane jest picie wina pod utratą miejsca. I ledwie można uwierzyć jak tym sposobem ogromna ilość przepada w piasku; a przecież nic to nie znaczy naprzeciw tej prawdziwie bajecznej ilości. I nie może być inaczej. Każdy kupiec mający tam składy swoje,

musi dawać także pozwolenia kosztowania (Fastings orders) dla tych którzy chcą kupować, a tak nie trudno przychodzi cudzoziemcom wyrobić sobie takie pozwolenie Pod pozorem ochoty kupna korzystają z tej łatwości i tacy, którzy z przyjaciółmi swemi umyślnie wybierają się aby się kapitalnie kapitalnego napić wina. A że John Bull, ma rozsądek i wyrachowanie, zabiera on w takim razie do kieszeni biszkokcik i rozbefa, i należycie się przez kilka godzin zabawi, naje i napije. Czasem nawet tyle dobrego nadużyje, że i na przyzwoitości i na nogach zaszwankuje. I dlatego to podobno ustanowionem zostało, że dla płci pięknej wejście tylko do 1. w południe wolne, aby zapewne niezdybywały dobrze już podchmielonych wędrowników. To bardzo zrozumiałe; ale dlaczego kobiet nie puszczają zupełnie do składu słoniowej kości, tego nikt nie umie wytłómaczyć.

Odurzeni nieco wychodzimy wzruszeni z piwnicy, rzuciwszy jeszcze wzrokiem na olbrzymie kufy na górze do mieszania wina przeznaczone, z których największa 23,250 gallonów zawiera, i zwracamy się ku sadzawce, przy której przechadzka jest najwięcej zajmująca, a która ciągnie się wzdłuż składów nieprzeliczonych.

Mamy już dosyć na dzisiaj, nie wejdziemy do nich, ale mimowolnie rzucamy ciekawem okiem w środek. I widzimy prawdziwie bajeczne składy wełny z Australji, jedwabiu z całego świata, drzewa, korzeni wszelkiego rodzaju, skór, cukru, kawy, i t. d. Zdaje się prawdziwie, że wszystkie zbiory wszystkich krajów, prosto z nich zbiegły się na to ogromne targowisko. A tak są niezmierzenie wielkie te ilości, i tyle przy pakowaniu i odpakowaniu odchodzi cukru, kawy, korzeni i t. d., że wywóz śmiecia Doków londyńskich dzierzawią za znakomite kwoty, a dzierzawca tych śmieci w kilku latach na bogatego wyszedł człowieka.

I skład za składem, i coraz nowe składy; a przed niemi piszczy i stęka sto żelaznych żurawi, podnoszących i spuszczających ciężary, a w koło nich kręci się tysiące robotników, cieśli, bednarzy, tragarzy, faktorów i Dokowych posługaczy, i wszyscy latają tam i sam i wszyscy są zajęci. A w wielkiej Dokowej sadzawce skupione osadzone aż po brzegi, same stoją okręta napełnione majtkami i robotnikami, gdyby pracującem mrowiem. Na nich to łączy się w malowniczą całość, życie Doków i życie morskie. Na żadnym punkcie Tamizy niema takiego zbioru statków, liny i sznury żaglowe spoczywając obok siebie, tworzą olbrzymią siatkę. A ile tam zdybać można najróżnorodniejszych narodowości!

Obok Holenderczyka zarzucił kotwicę brazylijski kupiec ze swoją kawą i drzewami farbującemi; Duńczyk wysadza woły swoje na ląd; belgijskie i francuskie statki wyładowują szkło, skórę, jaja, owoce i jarzyny; Amerykanin wytacza swoje beczki z tytoniem, i paki z bawełną; rossyjscy i niemieccy żeglarze złożyli już do magazynów zboża swoje i czekają na powrotny ładunek: angielskie statki z Indjów, z Australji, Kanady i Przylądka dobrej nadziei. A po statkach niemając się czem w tej chwili zająć, zabawiają się, każdy w swoim rodzaju; ten gotuje, tamten je, pije, siedzi albo marzy rozłożony na pokładzie, lub zawieszony na linie w powietrzu prawie, naprawia co przy żaglu, i dumając o rodzinnym kraju, nuci sobie najmilszą bo rodzinną śpiewkę.

Lecz już wieczór nastał. Mgły Tamizy osiadają pomału na masztach okrętowych; robotnicy zbierają się i porzucają swe warsztaty; milkną zmęczone żurawie, składy zamykają się; majtkowie i chłopcy okrętowi po dziennem zmęczeniu, kupią się rozciągając lub kuląc w różnych postaciach; inni wymykają się do bliskich szynkowni. Kilka chwil jeszcze, a będzie cicho i pusto w tych przed godziną jeszcze tak ożywionych miejscach; tylko wartownik ogniowy przechadza się wymierzonym krokiem, i zajaśniało światełko w domku śluzowego stróża.

Co znaczy gdy młodzieniec jest dobrze, gdy jest bardzo dobrze, i gdy jest skończony.

Jeżeli zobaczysz wyrostka, który po przymusowem przedukwieniu nauk gimnazialnych, częstokroć nawet nieskończonych, albo co gorsza, z pod stempla guwernerów domowych, na *Boży* świat wychodząc, żadnego nie obiera zawodu pożytecznego dla kraju, ale natomiast z pośpiechem ustroi się w osobliwe sukienki najświeższej mody paryskiej, włosy żelazkiem przypieka, ciasne nosi rękawiczki, przytem umie na pamięć kilka grzeczności francuskich — tańczy *polkę* z zadzieraniem pięty, niezmyli się w kontredansie, i rażącej nieprzyzwoitości niepopełni, płeć piękna zawyrokuje w salonach: *on jest dobrze* a ludzie rozsądni powiedzą: *to próżniak*, a ludzie naukowi mrukną pod nosem: *to głupiec*.

Jeżeli zobaczysz takiego próżniaka i głupca barczystym, silnie zbudowanym, *śmiałym* w salonach i *stanowczo rozprawiającym o kilku powieściopisarzach*, płeć piękna zapewni cię, że ten pan jest *bardzo dobrze*.

A jeżeli ów bardzo dobrze napisał kilkanaście rymów w imionniku, jeżeli był *za granicą!*, widział Wezuwiusz! Neapol, Rzym, Paryż i Szwajcarją; jeździł statkiem parowym na Renie, i chociaż przez pół roku słuchał w Berlinie wykładu filozofii... którą w chwilach *uczuciowych* po salonie ogłasza — i gęsi i gąski, — i lwice harmem krzykną: *skończony młodzieniec!...* A przecież to bałwan, który za granicą utracił, albo nadwerężył zdrowie i majątek, *bałwan* który się niczem do powszechnego dobra nie przyczyni, który się nadyma pokrewieństwem z rodzinami imion sławnych, który w najdroższych hotelach i restauracjach resztki ojcowizny marnuje i skryte zagina parole na panny milionowego posagu.

O pracowitym chłopku albo rzemieślniku, o obywatelu, który szczerze stara się moralny stan ludu wiejskiego podwyższyć, rolnictwo ulepszyć, o zacnym kapłanie religii, o dzielnym wojowniku, o biegłych doktorach medycyny, o poczciwych literatach, o gorliwych sumiennych urzędnikach, o zdatnych professorach, nie usłyszysz, że są *dobrze, bardzo dobrze*, albo że są *skończeni.* Te przydomki należą się młodym paniczom salonowym, passożytom, bezu-

żytecznym trutniom społeczeństwa... owym hotelowym dobrodziejom, owym filarom restauracyj francuskich, owym gospodarzom pikników i t. d. i t. d.

Każdy ojciec, o którego synach mówią że są *dobrze*, *bardzo dobrze* albo *skończeni*, srodze rumienić się winien, bo przec zły kierunek wychowania swoich gagatków, liczbę darmojadów powiększył, krzywdę krajowi wyrządził.

Rozmaitość.

* **Najjaśniejszego Pana** przyjmować będzie Wydział miejski i cechy z chorągwiami, na czele mając Burmistrza, u rogatki wieczorem o szóstej dnia 21go, gdzie będzie wybudowana brama tryumfalna. Przed pałacem Namiestnictwa oczekiwać będą Najjaśniejszego Pana Jeneralicya z korpusem oficerów, Duchowieństwo, Stany i wszystkie urzędy. Tegoż samego wieczora o godzinie 10tej wieczór zbiorą się wszyscy śpiewacy i cztery tysięcy osób z pochodniami na placu przed Żorżem, zkąd ruszą nową ulicą ku pałacowi Namiestnikowstwa, gdzie jednem skrzydłem sięgną komendy jeneralnej, drugiej kościoła Karmelitów, podczas gdy reszta zajmie całą prawie nową ulicę.

O festynie ludu, który Stany wyprawią, i innych uroczystościach podamy szczegóły w następnym Numerze.

* Mówiąc słowami poważnego dziennika Czas, jak przewidywaliśmy tak się stało. W skutek dowozów drzewa wojskowemi pociągami z lasów rządowych cena drzewa we Lwowie znacznie spadła. Dnia wczorajszego stała od 11 do 14 złr. za sąg bukowy. Lecz większe złe zagrażało miastu naszemu, nie tylko drogość opału, lecz brak zupełny mógł się dać uczuć dotkliwie następnej zimy. W pobliskich bowiem lasach tak prywatnych jak i rządowych tej zimy nie było robotnika do zrąbania sągów a ztąd i dziesiątej części tego opału nie przygotowano, co dawniejszemi laty. Zapobiegając temu niedostatkowi trzydzieści kilku gminom dano rozkaz wyrąbania w lasach rządowych koło Janowa kilkunastutysięcy sągów drzewa; każda gmina z osobna ma ilość przypadającą na nią po cenie oznaczonej wyrąbać. Na jedną chałupę przypada mniej więcej po pięć sągów. Oprócz tego jest w projekcie zawiązać towarzystwo na akcje do zbudowania kolei drewnianej do dóbr dominikańskich, aby tam wydobywać i dostarczać do Lwowa węgiel kamienny.

* Dnia jutrzejszego wyprawi towarzystwo muzyczne, koncert w sali redutowej. Sądząc po wyborze utworów muzycznych i po ostatnim koncercie towarzystwa, który tak świetnie wypadł bo i sala była przepełniona, i egzekucya muzyczna powiodła się jak najlepiej, wypadnie również świetnie i jutrzejszy koncert i sprawi słuchaczom przyjemność.

* Gdy przy terazniejszym składzie towarzystwa aktorów polskich trudnoby było przedstawić w zadawalniący sposób jakiejkolwiek sztuki, więc podczas pobytu **Najjaśniejszego Pana** we Lwowie przedstawienia polskiego być nie ma. Słyszymy jednakowo, iż temu zaradzić zamyślają przez odegranie przedstawienia polskiego przez amatorów.

Przyjechali od dnia 12. do 14. Czerwca do Lwowa.

PP. Łucki Adam z Sarny. Mierzyński Adam z Baryłowa. Dunin Jan z Głemboki. Ignacy Wojna z Pietrzyc. Skarbek hr. Alfred z Tarnopola. Jankowski Wojciech z Wybódowa. Poten Frydryk z Łahodowa. Jaworski Mikołaj z Kobylnicy. Thullie Jan z Mokrzan. Barański Michał z Radłowic. Sokołowski Konstanty z Ulicka. Zawadzki Marcin z Probużny.

PP. Wiktor Tadeusz z Jasła. Golejewski Karol hr. Wadowic. Hoszowski Nereusz z Brzeżan. Małachowski Józef z Dubia. Wilczyński Włodzimierz z Stryja. Broniewski Wojciech z Przemyślan. Ciecicki Alfons z Stanisławowa. Ochocki Tomasz z Białobożnicy. Janicki Kornel z Tarnopola. Padlewski Romuald z Uherec. Bobowski Konstanty z Brzeżan. Szczepański Franciszek z Stanisławowa. Gostyński Stanisław. Kruszewski Henryk z Żółkwi. Siemianowski z Siemiginowa. Strzelecki Eugeniusz z Wyrowa. Korytowski Erazm z Starego miasta.

Wyjechali od dnia 12. do 14. Czerwca ze Lwowa.

PP. Papara Henryk do Zubowych mostów. Kielanowski Tytus do Żelechowa. Krasicki hr. Kazimierz do Dubiecka. Lipanowicz Stanisław do Rohatyna. Pańkowski Władysław do Brzeżan. Szczepański Jan do Wiśniowczyka. Gumowski Hieronim do Borek. Dulski Edward do Czortkowa.

PP. Dzieduszycki hr. Włodzimierz do Złoczowa. Chwalibóg Jan do Lipowic. Woyna Fryderyk do Łahodowa. Biliński Onufry do Stryja. Komorowski hr. Ignacy do Żółkwi. Łoś Gustaw hr. do Werchraty.

Kurs telegrafowany z Wiednia 15. b. m. o g. 2 popołud.

Augsburg za 100 złr. .	124	Pożyczka 5% 79 $4\frac{1}{2}$	69
Hamburg za 100 tal. banco	90	Akcye banku	991
Londyn za 1 funt szterl.,	11 57	Kolej północna	2170
Medyolan za 300 lirów	123	Obl. ind.	73
Paryż za 300 franków .	$143\frac{1}{4}$	Nowa pożyczka z loterya	$102\frac{5}{8}$
Agio duk. ces. . . .	28	Pozyczka narodowa . .	$84\frac{3}{10}$

Wczorajszy **Kurs Lwowski**

	Gotówką		towarem	
Dukat holenderski	złr. 5	kr. 46	złr. 5	kr 50
Dukat cesarski	„ 5	„ 52	„ 5	„ 54
Półimperyał zł. rosyjski	„ 9	„ 57	„ 10	„ 2
Rubel srebrny rosyjski	„ 1	„ 56	„ 1	„ 57
Talar pruski	„ 1	„ 50	„ 1	„ 52
Polski kurant i pięciozłotówka	„ 1	„ 23	„ 1	„ 24
Galicyjskie listy zastawne za 100 zł. bez kuponu	„ 92	„ 30	„ 93	„ —
Galicyjskie obligacye indemnizacyjne bez kuponu	71	„ 20	„ 72	„ 30
5 proc. pożyczka narodowa	84	„ —	„ 85	„ —

Lwów, 15. b. m. Na dzisiejszym targu płacono korzec pszenicy ozimej po 36 złr. 50 kr. do 37 złr. 30 kr. — Żyta po 24 złr. — kr. do 28 złr. — kr. Jęczmienia po — złr. — kr. do 21 złr. — kr. Owsa po — złr. — kr. do — złr. — kr. Grochu po — złr. — kr. do — złr. — kr. Hreczki po — złr. — kr. do — złr. — kr. — Ziemniaków po 12 złr. 30 do 14 złr. — kr. Sąg drzewa bukowego — złr. — kr. do 36 złr. 40 kr. Sosnowego po — złr. — kr. do 26 złr. w.w. Cetnar siana 3 złr. 45 kr. do 4 złr. 35 kr. Centnar słomy 2 złr 35 kr. do 3 złr. 30 kr. w. w. Garniec 30 topniowej okowity bez opłaty 4 Złr. 10 kr. do 4 złr. 17 kr. w. w.

Wydawca i odpowiedzialny za redakcyą: **H. W. Kallenbach.** Z drukarni **E. Winiarza.**